

Zbigniew Kloch

Między zwyczajem a normą : dyskusje o poprawności językowej w Polsce XVIII/XIX wieku

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 82/4, 95-108

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

ZAGADNIENIA JĘZYKA ARTYSTYCZNEGO

Pamiętnik Literacki LXXXII, 1991, z. 4
PL ISSN 0031-0514

ZBIGNIEW KLOCH

MIĘDZY ZWYCZAJEM A NORMĄ DYSKUSJE O POPRAWNOŚCI JĘZYKOWEJ W POLSCE XVIII/XIX WIEKU

W roku 1830 ukazały się *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej*¹, kończące długotrwałe spory na temat zasad pisowni. Ten obszerny zbiór tekstów znakomitych uczonych zawiera rozstrzygnięcia i ustalenia, które z pewnymi zmianami obowiązują w zasadzie do dzisiaj. Rozprawy te ważne są także z innego powodu. Widać w nich wyraźnie krystalizowanie się nowego, systemowego myślenia o języku, zapoczątkowanego przez Józefa Mrozińskiego, oraz stopniowe odchodzenie od obowiązujących przez lata ustaleń Onufrego Kopczyńskiego. Ci dwaj wielcy uczeni reprezentują skrajne tendencje organizujące polską świadomość językową z przełomu w. XVIII i XIX, różniące się zasadniczo w kwestii rozumienia znaku, stosunku głoski do litery — czy szerzej: roli tradycji w kształtowaniu norm poprawnościowych.

Ustalenie jednolitych zasad pisowni — czego potrzebę odczuwano i uświadamiano sobie przede wszystkim w kręgu elity intelektualnej — miało położyć kres panującemu w wydawnictwach chaosowi ortograficznemu. Konkurowały ze sobą różnorakie sposoby zapisywania, lecz żaden z nich nie odnosił zdecydowanego zwycięstwa. Niekłórzy spośród autorów wydawali dzieła według pisowni własnego projektu, uzasadniając przy tym zazwyczaj jej reguły. Oryginalne pomysły ortograficzne ogłosił w r. 1814 Stanisław Staszic, a w 1816 — Alojzy Feliński, którego propozycje zyskały wielu zwolenników, nie zostały jednak powszechnie zaakceptowane². Panowała więc nadal duża dowolność w wyborze konwencji drukarskiej, o czym pisał m.in. Mroziński, wiarygodny świadek i uczestnik dyskusji językowych epoki:

Od lat kilkunastu zaczęły się u nas spory o ortografią, nic w niej nie jest ustalonym, typograf pyta każdego, kto mu przynosi rękopism: jaka jest twoja ortografia? [295]³

¹ *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej*. Przez Deputacją od Królewskiego Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk wyznaczoną. Warszawa 1830.

² S. Staszic, *Zdanie sprawy z czteroletniej pracy Towarzystwa Przyjaciół Nauk z roku 1809, 1810, 1811, 1812, na posiedzeniu publicznym dnia 10 stycznia 1814 roku*. W: *Dzieła*. T. 4. Warszawa 1816, *Zagajenia posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego*, s. 42—43. — A. Feliński, *Przyczyny używanej przeze mnie pisowni (ortographe)*. W: *Pisma własne i przekładania wierszem*. T. 1. Warszawa 1816.

³ Liczba w nawiasie wskazuje stronicę w: J. Mroziński, *Dzieła wszystkie*. Do druku przygotowała Z. Florczak, T. 1. Warszawa 1986.

Autorzy i wydawcy wzorowali się na tekstach renomowanych, postępując zgodnie ze zwyczajami ortograficznymi, jakie rozpowszechnił Dmochowski swymi edycjami dzieł Krasickiego i Karpińskiego, opierali się na ortografii Lindego⁴. Większość uczonych uważała pisownię Kopczyńskiego za zgodną z aktualnym stanem języka; ta ortografia, wyraźnie odbiegająca od zwyczajów, które się upowszechniały, miała nielicznych, lecz zagorzałych zwolenników wśród przedstawicieli elit, w sumie obowiązywała jednak przede wszystkim w nauczaniu, najdłuższej utrzymywała się na terenach zaboru rosyjskiego w szkołach elementarnych, gdzie ją nieznacznie tylko modyfikowano.

Ustalanie reguł poprawności językowej nie mogło przebiegać w próżni teoretycznej. Poprzedziły je pytania o sposób, w jaki należy odnosić się do językowego zwyczaju, o jego stosunek do obowiązującej już normy gramatycznej, o różnice występujące między zapisaną a wymawianą postacią wyrazów, o stosunek zwyczaju do ortografii i w końcu pytanie o grupę użytkowników języka, których nawyki w zakresie wymowy i pisma powinny stać się wzorem do naśladowania. Widać, że nie był to repertuar nowy, poruszane problemy nurtowały od dawna ludzi zajmujących się językiem, nowe zaś, przynajmniej na gruncie polskim, było podejście do niektórych zagadnień.

W *Przymówieniu się na pierwszym posiedzeniu Deputacji Mroziński* powołuje się na przykład Woltera, którego ortografia upowszechniła się we Francji wbrew autorytetowi uczonych nie zalecających jej używania (d'Olivet, Girard, Dumarsais, Beauzée) i została w końcu zaakceptowana nawet przez Akademię, ponieważ to nie gremia szacownych uczonych, lecz językowy zwyczaj jest faktycznym twórcą ortograficznych konwencji, nie będących przecież w stanie utrwalić się bez akceptacji społecznej. Twierdzenia tego rodzaju to logiczna konsekwencja przekonania o ponadindywidualnej, społecznej naturze języka; „język i pismo nie są własnością oddzielnego towarzystwa lub pojedynczych osób; nic w nich stanowić nie można dla siebie” (259). Gramatycy powinni raczej podążać za językowym zwyczajem, niż starać się usilnie o jego zmianę, ich zadanie polega bowiem przede wszystkim na podaniu do wiadomości publicznej zaobserwowanych prawidłowości rządzących językiem. W sytuacji gdy konkurują ze sobą różne językowe formy, odwołując się do wiedzy z zakresu swej dyscypliny, gramatyk powinien orzekać, którą z form należy uznać za bardziej godną polecenia, jaką więc uznać za normę, czyli obowiązujący sposób komunikowania.

Piszący na przełomie XVIII i XIX w. na tematy poprawności językowej zgodni są w zasadzie w sprawie bezwzględnej konieczności ustalania norm na podstawie językowego zwyczaju: zalecane sposoby mówienia i pisanie powinny opierać się na konwencjach już istniejących. Dla Mrozińskiego zwyczaj jest siłą wszechmocną, o konieczności uzgadniania normy z narodowym zwyczajem pisał wiele lat wcześniej Kopczyński, na tę samą zależność powoływali się również inni: Jan Śniadecki, Kazimierz Brodziński, Ludwik Osiński. Przy bliższym oglądzie jednomyślność okazuje się pozorną, różną bowiem siłą przypisywano regułom kształtującym zwyczaj, różne też preferowano wzory doskonałej polszczyzny i choć zasada zgodności norm ze zwyczajem nie była kwestionowana, w praktyce dochodziło do sporów i dyskusji.

⁴ Zob. *Przedmowa w: Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej.*

Stosunek kodyfikatorów języka do zastanych zwyczajów był w dużym stopniu pochodną zadań, jakie stawiano przed gramatyką, której dawniejsze rozumienie odbiega znacznie od przypisywanych jej dzisiaj zadań i funkcji. W Oświeceni u gramatykę rozumiano szeroko; wiedza z tej dziedziny obejmowała sformułowaną świadomość językową, odnoszącą się zarówno do poziomu *langue*, jak i do reguł budowy tekstu, w jej obręb wchodziła więc spora część tradycyjnej wiedzy retorycznej, teoria tropów, a nawet wiedza o budowie wiersza⁵. Gramatyce przypisywano ważne funkcje poznawcze — język nie opisany, nie skatalogowany, nie skodyfikowany, a zatem nie do końca poznany wydawał się myślicielom mniej doskonałym narzędziem komunikacji niż język, o którym wiedziało już prawie wszystko. Dla Kopczyńskiego, typowego przedstawiciela epoki, język nie posiadający spisanej gramatyki nie mógł funkcjonować w całkowitej zgodności ze swoim przeznaczeniem — „Gramatyka jest porządnym zbiorem uwag nad mową ustną i pisaną, podająca do tego sposoby, aby się ludzie jak najjaśniej między sobą rozumieli”⁶. Języki służą komunikowaniu się, ale są także narzędziem poznania, co z kolei stanowi zachętę do poznawania ich samych. „Języki są kluczem nauk, kluczem języków są gramatyki”⁷.

Gramatyka w ówczesnym rozumieniu była zarazem wiedzą filozoficzną i opisową, w starożytności, u Greków, uważana była za umiejętność i sztukę. Z czasem w traktatach gramatycznych zaczęły dominować aspekty opisowo-poprawnościowe. Zgodnie z dawniejszą tradycją Kopczyński starał się zawrzeć w swoim pionierskim dziele teorię języka, gramatykę uniwersalną oraz wyznaczyć normy poprawnego mówienia. Piszący 50 lat później Mroziński nie traktował już swego zadania tak szeroko, starał się przede wszystkim przedstawić „zewnątrzną” budowę języka polskiego, opisać jego „mechanizm”. Praca Kopczyńskiego miała charakter normatywny, a nawet postulatyczny, o czym świadczy np. stosunek autora do *á* pochylonego, Mroziński tworzył gramatykę opisową, interesował go faktyczny stan języka, a zebrane w ten sposób spostrzeżenia mogły z kolei dać podstawę normie.

Aby oznaczyć prawidła gramatyczne dla jakowego języka, należy wprzódy wyśledzić zasady, z których te prawidła mają się wyprowadzić; trzeba wprzódy uważać gramatykę jako umiejętność, a dopiero później jako sztukę; pierwej należy poznać mechanizm mowy, a potem dopiero można dla niej określić prawidła. [90]

Kopczyński także uważał, że o normie można wyrokować jedynie na podstawie zwyczaju językowego, z tą jednak różnicą, że opisywał zwyczaj już nie istniejący, mając nadzieję przywrócenia go w postaci gramatycznego prawidła.

⁵ Zob. Z. Florczak: *Europejskie źródła teorii językowych w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku. Studia z dziejów teorii języka i gramatyki*. Wrocław 1978, s. 147; *Gramatyka*. Hasło w: *Słownik literatury polskiego Oświecenia*. Pod redakcją T. Kostkiewiczowej. Wrocław 1977.

⁶ O. Kopczyński, *Gramatyka dla szkół narodowych na klasę I*. (Warszawa) 1778. Cyt. za: *Ludzie Oświecenia o języku i stylu*. Opracowały Z. Florczak i L. Pszczołowska. Pod redakcją M. R. Mayenowej. T. 2. Warszawa 1958, s. 153.

⁷ O. Kopczyński, *Gramatyka języka polskiego. Dzieło pozgonne*. Warszawa 1817, s. 7.

Wzorów poprawnej polszczyzny, która mogłaby być podstawą normy języka, szukano początkowo w przeszłości, najczęściej w języku wybitnych pisarzy Oświecenia, później uznano za godne naśladowania sposoby mówienia przedstawicieli elit umysłowych z przełomu w. XVIII i XIX, pisarzy, myślicieli. Po upadku państwowości język XVIII w. poddano zrozumiałej mitologizacji, postrzegano go jako źródło formuł i zwrotów, z których należy korzystać, nie licząc się ze zmianami, które zaszły na przestrzeni wieków. Postulaty takie stawały się z czasem coraz rzadsze. Na początku XIX w. dość powszechne stało się przekonanie, że nie da się już powrócić do języka minionych epok. Mit powrotu do doskonałej polszczyzny czasów saskich znalazł się zatem w miejscu dla siebie najbardziej odpowiednim, tj. w sferze myślenia życzeniowego, rzeczywistość zaś zmuszała piszących o języku do możliwie precyzyjnego określenia wzorów wchodzących w skład normy. Uznano, że w przypadku istnienia wzorów konkurencyjnych trzeba odwołać się do autorytetu uczonych, norma tworzy się najłatwiej przez naśladowanie osób znanych i szanowanych.

Dyskusja o relacjach, jakie powinny łączyć językowy zwyczaj i gramatykę, przybrała postać sporu o zależności między ortografią usankcjonowaną autorytetem uczonych a istniejącymi już konwencjami zapisu. Tu, tak jak i w kwestiach natury ogólnej, istniały dwa odmienne podejścia do zagadnienia: jedno, które traktowało przyjętą normę jako prawo nie dające się zmienić, oraz drugie, zakładające możliwość korektury normy w zależności od przemian językowego zwyczaju. Zwolennikiem statycznego, „prawno-policyjnego” rozumienia normy był m.in. Śniadecki, który — poza tym — podobnie jak większość współczesnych dopuszczał myśl o wpływie wybitnych talentów na język także w sferze inwencji retorycznej, w zakresie tworzenia oryginalnych, wyszukanych określeń, z czasem zasilających repertuar powszechnie używanych środków komunikowania.

W każdym narodzie prawodawcami języka są wielcy mówcy i pisarze. Wprzód zaczęto dobrze mówić i pisać, a potem z dobrych mów i pism jako z podanych wzorów wyciągniono prawa mówienia i pisania; bo prawa nie są tak środki doskonalenia języka, jako raczej prawa policyjne do utrzymania go w porządku⁸.

Brodziński natomiast opowiadał się za ujmowaniem relacji normy gramatycznej do zwyczajów w sposób dynamiczny. Zgodnie z taką perspektywą ortografia, która w zasadzie postępuje za istniejącymi już konwencjami, może starać się je również modyfikować.

Czyli oglądzenie języka wiele od dobrej ortografii zawisło; czyli ona więcej do zwyczaju, czy zwyczaj do niej stosować się winien [...]. Ortografia może się trzymać długo zastarzałego zwyczaju, zwyczaj może się zmieniać na szkodę języka i tym sposobem mogą z sobą być w sporze i nieprzyjaźnie wpływać na siebie. Lecz oboje mogą działać dla języka korzystnie z właściwych swoich stanowisk, jeżeli im przewodniczyć będzie smak dobry, który we wszystkim żąda pewnej miary. Wymawianie dąży do pozbywania się dawnych błędów i nieogładzenia; ortografia wzajemnie dopuszcza błędów nowych, chro-

⁸ J. Śniadecki, *Pisma rozmaite*. T. 3. Wilno 1818, s. 11.

ni od nałogów prowincyj i indywidualów i dąży do ideału należytego wymawiania⁹.

Koncepcja „prawno-policyjnej” roli normy bliższa jest tym myślicielom, którzy w wypowiedziach o poprawności skłonni są odwoływać się do tradycji, do dawnych zwyczajów językowych, natomiast zwolennicy dynamicznego ujęcia zależności między zwyczajem a gramatyką sądzą, że aktualny stan językowego zwyczaju stanowi wystarczające oparcie dla ustaleń poprawnościowych. W funkcji dodatkowych narzędzi ułatwiających kwalifikacje wątpliwych wyrażen i zwrotów występują: gust, smak oraz natura mowy i duch języka. Natura mowy określa to, co wspólne wszystkim językom świata, a mianowicie fakt, że są one środkiem wyrazu uczuć i myśli, duch zaś języków albo narodowy zwyczaj to pojęcie oznaczające swoiste właściwości mowy narodu: „wszystko [...], co każdy z języków ma właściwie i szczególnie sobie tylko służące [...]”¹⁰.

Rozstrzygnięcie konkretnych problemów ortograficznych wymagało odpowiedzi na pytanie o związek między pismem a mową. Dziś pisownię uważa się zazwyczaj za konwencjonalną:

pisownia się zmienia nie tylko dlatego, że się zmienia język, lecz także dlatego, że się zmieniają nasze na niego zapatrywania, a ten drugi czynnik ma nawet donioślejsze znaczenie niż pierwszy¹¹.

W ujęciu dawniejszym, naiwnym, jak się teraz ocenia, pismo uważano po prostu za doskonały, a zarazem naturalny sposób utrwalenia głosu. Takie mniemanie wynikało z utożsamienia głoski i litery, co z kolei prowadziło do dosłownego pojmowania starej zasady ortograficznej, wyrażającej się w sformułowaniu: „p i s z t a k , j a k m ó w i s z”. Ludzie początkowo porozumiewali się na migi, później za pomocą słów, aż wreszcie wynaleziono pismo, które uznane zostało za zmaterializowaną, ucieleśnioną postać dźwięków mowy, „przedmiot dla oka”. Zgodnie z tym rozumowaniem nie ma żadnej różnicy między literą a dźwiękiem: „Wszystkie głoski jak brzmia w abecadle, tak brzmia i w słowach”¹².

Gramatyk może zatem zasiąść do opisu badanego języka nie kłopotując się wcale pytaniem, czy w istocie chodzi tu o prawidłowości odnoszące się do mówionej czy też do pisanej odmiany. Wielu spośród uczonych tamtej epoki nie było w stanie oddzielić roli bezstronnego badacza od roli użytkownika języka — dla nich, tak jak dla zwyczajnych użytkowników mowy ojczystej, relacje między odmianą pisaną a mówioną oraz znaczeniem a głosem zdawały się odpowiadać sobie wzajemnie, sądzono, że były one jedynie możliwe¹³. Przekonanie o doskonałej zgodności dwu podstawowych postaci języka bliższe było wyznawcom twier-

⁹ K. Brodziński, *O łagodzeniu języka*. W zbiorze: *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej*, s. 351—352.

¹⁰ J. Muczkowski, *Gramatyka języka polskiego*. Poznań 1825, s. 1.

¹¹ S. Szober, *Pisownia polska, jej historia, uzasadnienie i prawa*. Warszawa 1917, s. 43.

¹² K o p c z y ń s k i, *Gramatyka języka polskiego*, s. 17.

¹³ Zob. E. Benveniste, *Problèmes de linguistique générale*. 1. Paris 1966. Por. także wypowiedzi w rodzaju: „Największa trudność przy uczeniu się angielskiego polega na tym, że tam, nie tak jak u nas, inaczej się pisze, a inaczej się mówi” — wygłaszane niekiedy przez tzw. „zwyczajnych” użytkowników języka oraz przez dzieci, które zaczynają się uczyć w szkole pierwszego języka obcego.

dzenia o umotywowanym charakterze znaków, podczas gdy konwencjonalni traktowali to przekonanie na ogół sceptycznie. Początek XIX w. przyniósł zmianę w myśleniu na te tematy. Silny wariant koncepcji utożsamiającej pisaną i mówioną odmianę języka stopniowo zastąpiony został słabszą wersją twierdzenia: zapisana postać mowy zaczyna być uważana za inwariant różnych odmian funkcjonalnych i dialektów. Zdaniem dyskutantów wielość odmian mowy ojczystej utrudniała kodyfikację języka, która w ówczesnych warunkach historycznych była pilną potrzebą.

Oto iż gdy pisma staowią język uczone, język jeden i powszechny; gdy za pisaniem idzie wymawianie, natworzą się dialekta, galicyjski, poznański, krakowski, warszawski, wileński, i trudno będzie osądzić, gdzie jest prawdziwy język polski? który sposób pisania stanowi jego zasady? ¹⁴

Prawdziwy zwrot w świadomości językowej nastąpił jednakże dopiero po opublikowaniu rozpraw Mrozińskiego (1822, 1824), który w sposób wyrazisty i jednoznaczny dokonał rozróżnienia między literą a głosem, stawiając też problem dystynktywnej i znakotwórczej funkcji dźwięków języka. Rozróżnienie, o jakim mowa, znane już było autorom Gramatyki Port-Royal z r. 1670, którą z pewnością czytał Kopczyński, lecz u nas dopiero Mroziński ukazał w całej złożoności rozbieżność między artykulacją dźwięku a jego graficznym obrazem ¹⁵. Podobnie jak wielu współczesnych Mroziński sądził, że znaczenie wyrazu jest pojęciem, o którym można myśleć jak o namalowanym dźwiękiem „obrazie myśli”. Gramatyk powinien przede wszystkim zająć się obserwacją mówionej postaci języka, przy czym nie wolno w żadnym wypadku naginać spostrzeżeń do apriorycznie przyjętych teorii, szczególnie do tych, które odnoszą się do innych języków. Język to dźwięki, którym odpowiadają znaczenia, w tej zatem postaci powinien być badany. Utrwalenie graficzne jest historycznie wtórną postacią języka, przyjęcie jej za podstawę formułowanych twierdzeń prowadzi do błędnych wniosków lub, w najlepszym razie, do nieporozumień. Mroziński konsekwentnie posługuje się rozróżnieniami istotnymi dla swoich wywodów: głoskom przeciwstawia figury alfabetyczne, „alfabetowi gramatycznemu”, czyli takiemu zapisowi dźwięków języka, gdy to każdej głosce może odpowiadać jedna litera, przeciwstawia „alfabet zwyczajowy”, konwencjonalny, w którym nie każde brzmienie wyrażone jest w piśmie. W polemice ze zwolennikami twierdzenia o doskonałej zgodności języka mówionego i zapisanego dowodzi:

Kopczyński, który prawie zawsze tyle liczy w wyrazie głosek, ile w nim widzi alfabetycznych figur, mówi najczęściej o brzmieniu, którego w wyrazie nie ma. [35]

Odmiany słów polskich wyrażają się częstokroć przez zamianę pojedynczych głosek, trzeba więc wszystkie pojedyncze polskie brzmienia poznać; Kopczyński zaś, wyjąwszy jedną głoskę *ch*, tyle zawsze liczy głosek, ile widzi liter, gdy tymczasem ortografia nasza wiele pojedynczych głosek przez podwójne wyraża litery [...]. Kto pojedynczych brzmień naszego języka nie poznał, na próżno będzie śleczął, aby poznać jego zewnętrzny mechanizm. [174]

¹⁴ F. J. [F. Jeziński?], *Wezwanie do zgody różnowierców w ortografii*. „Pamiętnik Warszawski” 1815, t. 3, s. 120.

¹⁵ Zob. Florczak, *Europejskie źródła teorii językowych w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku*, s. 144–145.

Ten sam zwyczaj, który tworzy się przecież w języku mówionym, różnorodnie może być odwzorowany w piśmie. Praca gramatyka nie powinna zatem sprowadzać się wyłącznie do wyboru jednej z wielu postaci zapisu słowa, starszej, bardziej rozpowszechnionej, zalecanej przez pisarskie autorytety — gramatyk zajmujący się problemami ortografii musi, posługując się wiedzą o wewnętrznej budowie języka i aktualnym stanie zwyczajów, wybrać tę postać zapisu, która lepiej wyraża brzmienie oraz tendencje języka i jest przy tym, w miarę możliwości, zgodna z tradycją. Mroziński wielokrotnie powtarza twierdzenia, że pismo nie jest wiernym odbiciem mowy, gramatyka nie jest historią pisma, a zwyczaj tworzy się w mowie żywej, skąd trafia do graficznej postaci języka. Statycznemu rozumieniu języka, charakterystycznemu dla prac Kopczyńskiego, Mroziński przeciwstawia myślenie w kategoriach zmiany i transformacji. Język jest zjawiskiem dynamicznym, przekraczającym ustalone raz na zawsze normy, dającym odpór zgłaszanym pod jego adresem postulatam uczonych.

We wszystkich językach brzmienia zmieniają się z wiekami, ale brzmienie, które zwyczaj wprowadził, przyjemne czy nieprzyjemne, musi pozostać w języku, dopóki znowu sam zwyczaj go nie zmieni. [260]

Spośród uczonych okresu właśnie Mroziński był najbardziej konsekwentny w swych poglądach na rolę zwyczaju; chociaż Kopczyński i Brodziński deklarowali podobne przekonania w kwestii, to w praktyce pierwszy nie chciał się zgodzić ze zmianą w wymowie samogłosek pochyłonych, jaka zaszła pod koniec w. XVIII, drugi zaś dopuszczał, przynajmniej w rozważaniach teoretycznych, większą chyba niż Mroziński możliwość korekty istniejącego zwyczaju. Mroziński był w pełni świadom, że powtarzane wielokrotnie zalecenie gramatyków „pisz, jak wymawiasz” nie może być w praktyce zrealizowane w żadnym języku, gdyż zakładałoby to posługiwanie się konwencją zapisu, zgodnie z którą każdemu dźwiękowi odpowiada stale ten sam znak graficzny.

Nie masz narodu [...], który by tak pisał, jak wymawia. W językach, dla których przywłaszczono alfabet łaciński, widzimy jeszcze więcej niezgodności między pismem a mową niż w językach, które mają własny alfabet, bo alfabet obcy, dla języka tylko przyswojony, mógł nie być dostatecznym do wyrażenia wszystkich brzmień tego języka, szczególnie jeżeli w początkach (jak się to prawie w całej Europie działo) nieumiejętne nim władały ręce. Później przeto prawie u wszystkich europejskich narodów, które przyjęły alfabet łaciński, starano się poprawić ortografię. [134—135]

Przekonanie, że zasada „pisz, jak wymawiasz” może być w ortografii zrealizowana dosłownie, lub sprzeciw wobec takiego postulatu, wpływający z twierdzenia o niemożliwości doskonałego zapisu dźwięków mowy, w zasadniczo odmienny sposób kształtowały myślenie o poprawności języka. Zwolennicy pierwszego z przywołanych stanowisk skłonni byli ingerować w istniejące i zadomowione zwyczaje. Postępowali tak w imię wartości estetycznych, dla zachowania dawniejszej, doskonalszej — ich zdaniem — postaci języka, w imię ciągłości tradycji. Zwolennicy tezy o niedoskonałości zapisu graficznego w stosunku do dźwięków ograniczyli uprawnienia gramatyka do roli kodyfikatora zastanego zwyczaju i arbitra w przypadku spraw spornych. I jedni, i drudzy deklarowali w swych wypowiedziach akceptację starej i znanej formuły, według której zwyczaj ma być drugą naturą.

Toczone na początku XIX w. dyskusje na temat samogłosek pochyłonych, spór o dyftongi, kłótnie o jotę — mogą zilustrować zależności między świadomością języka a stosunkiem myślicieli do konkretnych problemów ortograficznych i gramatycznych.

Zgodnie ze świadectwem współczesnych i elementarną wiedzą z historii języka, różnica fonetyczna między *a* i *á* (tzw. pochyłonym) w okresie, o jakim mowa, nie była już odczuwana. Wymowę *á* pochyłonego uważano w najlepszym razie za prowincjonalizm. Kopczyński i jego zwolennicy obstawali jednak za koncepcją oznaczania pochyłych w tekstach pisanych. Sądono, że przywrócenie ich w piśmie pociągnie za sobą przywrócenie pochyłych w mowie, co z kolei przyczyni się do zwiększenia bogactwa i piękna polszczyzny i zgodne będzie z językową tradycją. Przeciw wszelkim pochyleniom, także tym, których różnica brzmień była odczuwana, a więc samogłosek *e* i *o* (tzn. *é* i *ó* — pochyłonych), występował zdecydowanie Staszic.

Jak Kopczyński wszelkimi sposobami popierał te znamiona nad samogłoskami, których potrzeby naród już nie czuł, tak Staszic, oprócz nowości, jakie w swych pismach zaprowadzał, odrzucał wszelkie znamiona nad samogłoskami, te nawet, które zwyczaj powszechny dotąd za niezbędne uważa¹⁶.

Pomimo różnic w kwestii pochyłych — łączyła autorów wiara w możliwość ingerencji w językowe zwyczaje i przekonanie o normatywnej roli sposobu zapisywania. Zwolennicy stosowania dodatkowych oznaczeń w piśmie myśleli i argumentowali następująco: w tekstach dawnych, np. w tekstach z w. XVI, pochylenie *á* było oznaczane, skąd można wnioskować, że było też wymawiane. Aby przywrócić je mowie, wystarczy zalecić stosowanie odpowiedniego znaku w piśmie, skoro bowiem Polacy piszą dokładnie tak, jak mówią, muszą też mówić tak, jak piszą¹⁷. Przeciwnicy tej tezy odnosili się sceptycznie do możliwości przywrócenia *á* pochyłonego polszczyźnie. Wnioski sformułowane w odniesieniu do pisma nie przywrócą porzuconego zwyczaju. W polemice ze zwolennikami oznaczania *á* pochyłonego Mroziński pokazał, że w pismach z XVI w. pochylenia oznaczano początkowo za pomocą podwojenia litery, zwyczaj stosowania „znamion” nad samogłoskami wprowadził zaś Stanisław Zborowski w r. 1518 i zwyczaj ten nie od razu się przyjął. Ortografia jest zbiorem konwencji, które powinny mieć trwałe oparcie w aktualnym zwyczaju, nie zaś w zwyczajach już nie istniejących. Zasadę „pisz, jak wymawiasz” należy stosować wówczas, gdy jest to możliwe, nie można natomiast używać jej tam, gdzie się stosować nie daje. Sąd Mrozińskiego w sprawie pochyłych był jasny i jednoznaczny:

Aby różnicę brzmienia w piśmie oznaczać, trzeba, aby ją każdy czuł wyraźnie, iżby każdy wiedział o tym, że jego organy mównic wydają dwa różne brzmienia, idą w tym za jego wolą; bo nikt nie może w piśmie ostrzegać o różnicy brzmienia, której sam w mowie nie dostrzega. Czujemyż wszyscy różnicę między *a* otwartym i *a* ścieśnionym? jestże w naszej woli odróżniać dwa te brzmienia w mowie, tak jak odróżniamy *s* od *ś*, *e* od *ę*, *o* od *ó*, itp.? [266—267]

¹⁶ *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej*, s. IV—V.

¹⁷ K o p c z y ń s k i, *Gramatyka języka polskiego*, s. 200.

W swych zaleceniach ortograficznych Mroziński podążał drogą od mowy do pisma. Kopczyński zaś miał na uwadze przede wszystkim pisaną postać języka. Różnice punktów widzenia były widoczne również w stosunku obu autorów do kwestii dyftongów.

Pomysł wprowadzenia dyftongów, a nawet tryftongów, do opisu dźwięków polszczyzny powstał z kilku powodów¹⁸. Kopczyński, który utożsamiał głoskę z literą, ulegał iluzji pisma, biorąc odrębne znaki graficzne za dźwięki. Podobnie jak Beauzée i inni autorzy zachodni dał się Kopczyński uwieść urokowi słowa pisanego. Klasyfikacja dźwięków, którą zaproponował, arbitralna i nie poparta wiedzą o artykulacji głosek, za podstawę brała tradycję wypracowaną przez gramatyków europejskich, nie zaś obserwację fonetyki polskiej. Język wyposażony w dyftongi wydawał mu się doskonalszy niż ten, który dwugłosek nie miał. Koncepcja polskich dyftongów zdobyła wielu zwolenników, do których grona zaliczał się z pewnością Śniadecki. Filozof ten był głęboko przekonany o prawdziwości poglądów Kopczyńskiego, twierdzenie, że w języku polskim nie ma dyftongów, uważał za absurdalne i sprzeczne z empirią.

Trzeba Polakom oczy pozalepić i uszy pozatykać, żeby im wmówić podobne mniemanie; albo trzeba język polski uważać jako tajemnicę religijną, gdzie świadectwo oczu i uszu nie jest żadnym dowodem¹⁹.

Takie, jak się wydawało, nie podlegające dyskusji twierdzenia straciły wartość wkrótce po opublikowaniu prac Mrozińskiego, który klasyfikację głosek polskich oparł na kryterium funkcjonalnym i artykulatoryjnym. Z poglądami Kopczyńskiego polemizował Osiński:

Kiedy przecież zważymy, że te wszystkie jego dwugłoski i trójgłoski rodzą się z litery *i*; że takich, w których by się zlewał w jedno zbieg innych samogłosek, wcale nie mamy; kiedy nie ma u nas dyftongów dla oka, kiedy wszystkie tak mamy wymawiać, żeby każdej wokali brzmienie wyraźnie czuć się dawało; czyliż te wszystkie względy nie zbliżają nas do załatwienia sporu?²⁰

Pomimo zachęty do zgody spór istniał nadal. Przebiegał jako polemika ze stwierdzeniami wymienionych z nazwiska autorów: Osiński dyskutował z poglądami Śniadeckiego, Śniadecki występował przeciwko pomysłom zreformowania ortografii, które głosił Feliński. W istocie chodziło o starcie się dwu różnych orientacji myślowych, dwu koncepcji języka: jednej — odwołującej się do tradycyjnej klasyfikacji dźwięków i statycznej wizji języka zawartych w dziele Kopczyńskiego, i drugiej — uwzględniającej dynamikę przemian językowego zwyczaju, opartej na rzetelnej obserwacji mechanizmów mowy, orientacji, której reprezentantem był przede wszystkim Mroziński. Walka o ustalenie trwałych i powszechnie akceptowanych reguł ortograficznych była w dużej mierze sporem z poglądami Kopczyńskiego. Problem rzekomych dyftongów był jednym z wielu wymagających rozstrzygnięcia, lecz nie był z pew-

¹⁸ Zob. Florczak, *Europejskie źródła teorii językowych w Polsce na przełomie XVIII i XIX wieku*, s. 149—151.

¹⁹ Śniadecki, *op. cit.*, s. 75.

²⁰ L. Osiński, *O używaniu liter „i”, „y”, „j”*. W zbiorze: *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej*, s. 146.

nością najtrudniejszy do rozwiązania. Długotrwałe i zażarte spory toczono o jotę, dyskutowano o roli *i* oraz *y* w systemie dźwięków polszczyzny, a także spierano się o zasady regulujące pisownię tych głosek. Zdaniem współczesnych te właśnie problemy przysparzały drukarzom i gramatykom najwięcej kłopotów: „W żadnej podobno części pisowni naszej nie daje się postrzeżać większa niedokładność i zamieszanie, jak w używaniu liter *i*, *y*, *j*”²¹. Gramatycy i użytkownicy języka wyczuwali, najczęściej intuicyjnie, że chodzi tu o dźwięki podobne, choć nie zawsze zgadzano się co do opisu sposobów artykulacji *i/y*, a przy tym posługiwano się różnorodną terminologią, która miała uchwycić istotę omawianych dźwięków.

Podać można co najmniej dwie przyczyny referowanego stanu rzeczy. Po pierwsze, w grę wchodziły przemiany systemu fonetycznego, bliskość artykulacyjna *i/y*. Różnice w wymowie utrudniały stabilizowanie się ortografii. Po drugie, mający długą tradycję zwyczaj niejednorodnego sposobu zapisywania tych głosek nakładał się na regionalne różnice artykulacyjne.

Zmiany fonologiczne polszczyzny spowodowały rozwój *é* pochylonego w kierunku *e* lub *i* oraz *y*. W tekstach z XIV i XV w. samogłoskę *i* oznaczano za pomocą liter *i* albo *y*, podobnie *y* zapisywano jako *i* albo *y*. Te najczęściej stosowane postaci zapisu były dodatkowo uzależnione od pozycji głoski w wyrazie i sąsiedztwa fonetycznego. Najdłużej nie ustabilizowana była pisownia joty.

Należy nadmienić, że przez XVIII i XIX w. brak było *j*. Stosowano zasadę znaną od czasów średniowiecza, tj. *i* przed samogłoską, *y* przed spółgłoską. W średniowieczu używano tego znaku sporadycznie (najczęściej w nagłosie wielką literę *J*; już w *Bulli* z 1136 r.), podobnie również w drukach XVI w. Częściej już spotykamy tę literę w XVII w., przede wszystkim u pisarzy protestanckich (np. w *Biblii gdańskiej* oraz u pisarza śląskiego Adama Gdacjusza). Poeta epoki klasycyzmu Alojzy Feliński odważył się wprowadzić do swoich utworów *j*, wnioskując po prostu, że *j* nie wymawia się jak *y* lub *i*²².

Jota wywoływała wśród dyskutantów zadziwiająco silne emocje. O randze problemu i polemicznym zacietrzewieniu świadczą epitety, jakich używał Śniadecki, pisując pod różnymi pseudonimami, nieprzejednany przeciwnik obrońców *j*, których nazywał „reformatorami języka”. Dla Śniadeckiego jota była „złym duchem gramatycznego odmetu i niepokoju”, „podrzuczoną dzieckiem zarazy i zepsucia”, „bękartem gdańskim”. Feliński, zwolennik joty, dowodził z kolei, że istnienie tego znaku w *Biblii* z 1632 r. może być argumentem na rzecz używania go w pisowni polskiej. Ze względu na trudności w zastosowaniu literę tę nazywano „jotą złośnicą”. W wyrazach pochodzenia obcego znakiem *j* oddawano niekiedy głoskę *i*, co jeszcze pogłębiało zamęt ortograficzny. Proponowano różnorakie rozwiązania problemu. Projekt pisowni Staszica przewidywał używanie *j* w miejscach, „gdzie ta litera czyni odrębną

²¹ *Ibidem*, s. 128.

²² S. Rospond, *Gramatyka historyczna języka polskiego*. Warszawa 1971, s. 54–55. Zob. też Z. Klemensiewicz, *Historia języka polskiego*. Wyd. 3. Warszawa 1974, s. 602. — Z. Klemensiewicz, T. Lehr-Splawiński, S. Urbańczyk, *Gramatyka historyczna języka polskiego*. Wyd. 4. Warszawa 1964, s. 143–144.

sylabę”, oraz na początku wyrazu, *i* zaś przede wszystkim w funkcji znaku współtworzącego dyftongi. Staszic proponował więc pisać: „jadę”, „zjadam”, ale „oiciec”, „dzisiai”. Trudno dokładnie wyjaśnić, co miało oznaczać twierdzenie o sylabotwórczej funkcji *j*, błędne, jak wiadomo, oraz ogólnikowe wyjaśnienie, że *y* używa się tylko tam, „gdzie tej litery brzmienie w mówieniu rzeczywiście wyrażamy, jak to: »my«, »żywy«, »były«, »byt«, i w imperatywach »biy«, »pracuy«, »stoy«”²³. Ortografia Staszica nie zyskała uznania.

Zwolennicy *j* uważali, że za tym znakiem przemawia autorytet pism dawnych oraz powszechnie używanie w drukach współczesnych.

Oprócz Felińskiego jotą posługiwał się Lelewel, znak *j* uwzględnia też Tadeusz Szopowicz w projekcie ortografii z 1814 roku. Zwalczaną przez Sniadeckiego pisownię lansowano m.in. w „Tygodniku Wileńskim” i w „Dzienniku Wileńskim”²⁴, Osiński, uzasadniając konieczność nadania wartości normy coraz bardziej rozpowszechniającemu się zwyczajowi, powoływał się na najwięksi literackie autorytety.

Postać, którą w księgach naszych już nienową widzimy [...], z wszelką dokładnością jako spółgłoska jest używana; postać, którą dawniej jeszcze Jan Kochanowski, a przed nim Seklucjan, choć w części, za potrzebną uznawali; postać, której Kopczyński spółgłoskowego brzmienia przynajmniej w łacinie nie odmawiał; postać wreszcie, która przed Felińskim od wielu pisarzy używana, dziś w drukach i pismach prawie powszechną się stała, nie może nikogo nowością, a tym mniej dziwactwem odrażać²⁵.

Jednym z powodów walki Sniadeckiego ze stronnikami „*j* podłużnego” była chęć zachowania w pisowni reguł sformułowanych w gramatyce Kopczyńskiego, który sądził, że *j* pisze się tylko w sąsiedztwie *w* i *z*. Sniadecki, zwolennik tradycyjnego myślenia o języku, był przekonany, że norma potrafi oprzeć się zmianom zwyczaju, dlatego też wszelkie nowości, a zatem odstępstwa od istniejącego porządku, piętnował jako ortograficzne „kacerstwo”. Filozof, który wierzył w możliwość powrotu do wzorców języka z minionej epoki, starał się za wszelką cenę wykluczyć *j* z poprawnej polszczyzny, lecz na przeszkodzie tych dążeń stanął niespodziewanie autorytet mistrza. Kopczyński odnotował przecież istnienie *j*, zaleciwszy stosowanie znaku w określonym otoczeniu dźwiękowym. Sniadecki starał się tę regułę jeszcze zawęzić, sugerował, że pisownia akceptowana przez Kopczyńskiego nie ma w zasadzie silnego oparcia w wymowie, że taka pisownia jest po prostu ortograficzną konwencją:

ani cudzoziemiec, ani dziecko polskie nie potrafi z samego pisania tak wymówić, aby ucho rozpoznało „ziem” od „ieść” [...]. Więc wchodząc w myśl Kopczyńskiego, przedłużone *i* małe w słowie, np. „zjem”, jest to tylko proste ostrzeżenie czytelnika, że w tym słowie *i* wymówić się powinno z większym naciskiem niż w innym dyftongu: więc to nie jest ani nowa litera, ani nie zrozumiana spółgłoska [...], ale prosty znak ortograficzny [...]²⁶.

Zwyczaj oznaczania dźwięku *j* przez literę *i*, który miał przecież oparcie w tradycji pism dawnych, wzmocniony wiarą w istnienie dyfton-

²³ Staszic, *op. cit.*, s. XII—XIII.

²⁴ K. K., *Do redakcji tygodnika o głosce „j” podłużnej*. „Tygodnik Wileński” 1816, nr 22, s. 351.

²⁵ Osiński, *op. cit.*, s. 161.

²⁶ Sniadecki, *op. cit.*, s. 85—86.

gów w języku polskim, prowadził do upowszechnienia się mniemania, że *j* jest samogłoską. Mroziński, Osiński i Brodziński nie mieli wątpliwości, że litera *j* powinna oznaczać spółgłoskę. Dowodów dostarczyła wiedza o artykulacji.

Kiedy zatem uważam, że przy wydawaniu głoski *je* język styka się z podniebieniem bliżej tego miejsca, gdzie wyrabiamy głoski gardłowe; gdy uważam, że brzmienie *syczące*, z którymi niejaka trwałość dźwięku łączyć się daje i które do rzędu nieodbitych policzone zostały, nie mając nic wspólnego z tą głoską; gdy uważam, że trwałość jej o tyle jest pozorną, o ile spływając na samogłoskę *i* zmienia swoją naturę i przez to ucho nasze omyla; postrzegam w niej wszystkie własności spółgłoski [...] ²⁷.

Mroziński, który głoski polskie podzielił na twarde i miękkie, odróżniał samogłoskę *i* występującą w funkcji sylabotwórczej od *i* pełniącego rolę znaku miękkości głoski poprzedzającej. Te rozróżnienia mogły stać się podstawą dalszych ustaleń ortograficznych. Należało zatem sformułować regułę określającą zasady pisowni *i*, *j* oraz *y*. Ustalono, że *i* należy pisać po spółgłoskach miękkich, *y* zaś po twardych, spółgłoskę *j* natomiast „tam gdzie dotąd pisownia nasza mieściła literę *i*, *y*, jako część dyftongu, czy to w zaczęciu, czy w zakończeniu sylaby, równie gdy do niej należy sama, jak z inną spółgłoską [...]” ²⁸.

Niechęć Śniadeckiego do *joty* była wyraźnie związana z walką o dominację określonej odmiany polszczyzny, prowadzoną między tzw. ośrodkiem wileńskim a ośrodkiem warszawskim na początku XIX wieku ²⁹. Dyskusja o *j* była więc w dużym stopniu sporem przedstawicieli „kresów”, Śniadeckiego i jego zwolenników, dążących do kodyfikacji bliskich sobie językowych zwyczajów, a przedstawicielami „centrum”, których poglądy starano się dyskredytować nie tylko przy użyciu argumentów o charakterze merytorycznym. „Tygodnik Wileński”, gdzie najczęściej używano „*i* długiego zamiast *i* krótkiego” ³⁰, oskarżano o bezmyślne uleganie „warszawskim nowinkom”, Śniadecki zaś uważał, że język, jakim mówiono w stolicy, pełen wyrazów „fabryki mazowieckiej”, jest dla Polaka z kresów w ogóle niezrozumiały. W liście do redakcji „Dziennika Wileńskiego” pisał pod pseudonimem Zachariasz Krytykiłło:

trzeba spodziewać się nowego z Warszawy słownika, tłumaczącego nam znaczenie i początek tych wszystkich nowo wprowadzonych wyrazów. Nie podobало się to moim ziomkom, żeby się uczyć dawno zapomnianej mowy indyjskiej do zrozumienia polszczyzny, i postanowili sobie uczynić rozbrat z WM Pana „Dziennikiem” jako ciemnym i niezrozumiałym ³¹.

Spory o *jotę* nie wyczerpują repertuaru zagadnień, o jakich dyskutowano. Z nieco mniejszą werwą spierano się o językowe problemy natury ogólnej i o zagadnienia szczegółowe. W ramach prac nad określeniem norm ortograficznych dyskutowano o zakończeniach bezokolicznika,

²⁷ Osiński, *op. cit.*, s. 142—143.

²⁸ *Ibidem*, s. 151.

²⁹ Zob. M. R. Mayenowa, *Mickiewicz a tradycje stylistyczne*. „Pamiętnik Literacki” 1956, zeszyt mickiewiczowski.

³⁰ Y. e. i., [*List do redaktora*]. „Tygodnik Wileński” 1816, t. 1, s. 327.

³¹ *List Zmudzina do redaktora „Dziennika Wileńskiego”*. Cyt. z: Śniadecki, *op. cit.*, s. 60—61.

zastanawiano się, czy pisać „być”, czy może lepiej „bydź”, dyskutowano o zasadach pisowni nazwisk i nazw obcych, o używaniu liter z, s, x oraz ks, o pisowni przyimków „z”, „bez”, „przez”, „roz”³². Wymienione tu przykładowo dyskusje nie prowadziły jednak do tak silnej i wyrazistej polaryzacji postaw, jak to miało miejsce w przypadku sporu o głoskę j. W efekcie długotrwałych polemik powstał projekt pisowni, który choć w zamierzeniu miał być tylko głosem w dyskusji, stał się z czasem podstawą normy ortograficznej.

Lektura tekstu zamykającego *Rozprawy i wnioski* pozwala stwierdzić, że z trudem formułowane przepisy ortograficzne oparto na kilku kryteriach. Zwyciężyła koncepcja ograniczonego stosowania zasady „pisz, jak wymawiasz”, skorygowana przez świadomość różnic między głoską a literą. Ortografią uznano za zbiór konwencji opartych na aktualnym zwyczaju językowym i tradycji. W świadomości językowej epoki zaczęło się stopniowo, lecz wyraziście krystalizować wyczucie różnic między grafiką a ortografią, czyli między sposobami oznaczania dźwięków za pomocą znaków a sposobami wyrażania właściwości fonetycznych języka za pomocą pisma³³. Myślę, że do takiego wniosku uprawniają referowane spory na temat różnic między i sylabotwórczym a i w funkcji znaku miękkości głoski poprzedzającej.

Przy ustalaniu prawideł ortograficznych dodatkowo posługiwano się kryteriami semantycznymi i fleksyjnymi, które ułatwiały klasyfikację poprawnościową form spornych. I tak np. uznano, że przymiotniki męskie w narzędniku należy kończyć sufiksem *-emi* lub *-imi*; zalecono, aby partykułę „nie” pisać osobno w przeczeniach. Regułę ortograficzną skorelowano zatem bądź z formą fleksyjną wyrazu, bądź ze znaczeniem. W przypadku obcych nazw własnych zalecano z kolei stosowanie pisowni oryginalnej, „tak jak je cudzoziemcy piszą w swych własnych językach”³⁴, posłużono się zatem kryterium genetycznym. Pochodzenie wyrazu przesądzało o poprawności zapożyczeń. Pobłażliwie odnoszono się do pożyczek z języków słowiańskich, energicznie zaś walczono z wpływami niemieckimi i francuskimi.

Przeciwstawienie „swój”/„obcy”, dobrze znane badaczom kultury, pełniło ważną rolę w porządkowaniu świadomości językowej w omawianym okresie. „Nasz” język przeciwstawiano często „mowie innych” jako zagrażającej, zacierającej kulturową tożsamość narodu pozbawionego państwowości. „Obce” musiało być koniecznie zredukowane, zasymilowane, przyswojone przez język lub po prostu przezwyciężone. Staszic uważał np., że pisownię samogłosek pochylonych trzeba w całości odrzu-

³² Zob. w *Rozprawach i wnioskach o ortografii polskiej*: F. Bentkowski, *Jak się ma pisać głoska „g” przed „i” tudzież „e” w wyrazach cudzoziemskich, w języku polskim przyswojonych lub używanych? (geografia, logika itp.)*; W. Szwejkowski, *O używaniu liter „x” lub „ks” oraz O używaniu liter „z”, „s”*; F. Bentkowski, *O końcowych spółgłoskach typu bezokolicznikowego, a w szczególności o zakończeniach na „ć”, „ś”, „ź”, „dź” i „c”*; J. Mroziński, *O sposobie pisania nazwisk cudzoziemskich*; oraz inne wypowiedzi zamieszczone w tym tomie.

³³ O ortografii i grafice zob. Szober, *op. cit.*, s. 7.

³⁴ *Zdanie sprawy Deputacji przy złożeniu Towarzystwu Królewsko-Warszawskiemu Przyjaciół Nauk rozpraw i wniosków dotyczących się ustalenia pisowni polskiej*. W: *Rozprawy i wnioski o ortografii polskiej*.

cić, bo jest ona niezgodna z normą słowiańską, świadczy o wpływach niemieckich na nasz język (co zresztą nie było prawdą). W dyskusji na temat użycia znaków *x* oraz *ks* proponowano, aby ten drugi rodzaj pisowni zarezerwować dla wyrazów rodzimych, pierwszy zaś dla wyrazów obcych, z kolei w sporze o pisownię imion własnych zapożyczonych z innych języków — sporadycznie pojawiały się głosy domagające się, aby tego rodzaju nazwy tłumaczyć lub aby chociaż przekładać obce brzmienia na swojskie. Ślady „obcości”, które szybko znikają w mowie potocznej, zazwyczaj znacznie dłużej pozostają w piśmie, dlatego też stamtąd przede wszystkim należało usunąć niepożądane różnice, aby w ten sposób „oswoić” obce kulturowo formy³⁵. Mroziński przekroczył horyzont myślowy swych czasów także i w tym punkcie:

Teraźniejszych [...] nazwisk tłumaczyć nie można, bo nasze nazwiska są cechami indywidualności jako znaki głosowe, ale nie jako wyrazy mające znaczenie [...]. [374]³⁶

Jak wielokrotnie powtarzał, określanie zasad poprawności powinno być poprzedzone poznaniem zwyczaju i mechanizmu języka, co pozwala zrozumieć jego cechy swoiste. Języki różnią się między sobą pod względem budowy, lecz nie ma potrzeby przeciwstawiać „naszej” mowy sposobom wypowiedzania się „innych”, wszystkie języki są bowiem doskonałe w takim stopniu, w jakim pozwalają dogodnie przekazywać myśli.

Świadomość językowa początku XIX w. także w zakresie zagadnień poprawnościowych nie była ani doskonale uporządkowana, ani nawet jednorodna. Dyskutantów łączyło jednak żywe zainteresowanie problemami językowymi, które miało dobrze przeciwieństwo wszystkim znaną motywację historyczną: język pozwalał zachowywać tożsamość narodu pozbawionego państwowości.

³⁵ Sądzę, że w świadomości językowej okresu zachodził ten sam typ procesów, który opisywał J. Culler (*Konwencja i oswojenie*. Przełożył J. Sieradzki. W antologii: *Znak — styl — konwencja*. Wybrał i wstępem opatrzył M. Głowiński. Warszawa 1977) w odniesieniu do literackiego gatunku: „nieznane” sprowadza się do znanego, teksty nowe „oswaja się” poprzez sprowadzenie ich do ram wyznaczonych przez „naszą” kulturę.

³⁶ Zob. też dalsze wywody Mrozińskiego: „Lecz nie tylko oswajano się wszędzie z cudzoziemską postacią nazwisk; wszystkie narody europejskie, które mają wspólny alfabet, zgodziły się niejako między sobą, iż nawet w ortografii ich żadnej nie należy czynić zmiany. Zwyczaj ten nie przez prawidła ortograficzne był wprowadzony; imiona bowiem nie należą do wyrazów języka: utworzyła go sama potrzeba” (375).